

ANTONI SŁONIMSKI

rysunki FELIKSA TOPOLSKIEGO

POPIÓŁ I WIATR

OPOWIEŚĆ O MINIONEJ MŁODOŚCI I O UTRACONEM MIĘŚCIE

Fragmenty poematu



Wrócić znów na Żorawią, Narbutta, na Smolną!
Na Krakowskie do Boyów zajść na pogawędke,
Pogadać mową własną, umowną, swawolną,
Myśl postuszną ubierać w słowa gietkie, przedkie!
Gdy dom Boyów wspominam w najczulszej przyjaźni,
Pierwsza rzecz, którą czuję, to jest zapach łaźni.

Bo na dole w tym domu z dzieciństwa znajome
Mięściły się kąpiele i łaźnia Fajansa.
Wchodziło się w oparach przez schody dość strone
Do mieszkania, gdzie zwykłe sobotnie seansa
Gromadziły przyjaciół, pisarzy, aktorów
W gwarze rozmów i żartów, dyskusyj i sporów.

W korytarzu ogromna stoi ciężka paka
I pod ścianą w jadalni — skrzynia w pół otwarta.
W nich dobytek domowy: przekłady Balzaka,
Diderota, Pascala, Moljera, Descartes'a.
„Słówka” cienkie i grube, „porachunki” Fredry,
Książki od których w Polsce trzęsły się katedry.

Tu najbliższa rodzina: „Ojciec Goriol” stary,
„Kuzynek Pons” poczciwy i „Kuzynka Bietka”.
Romans czyli z Odettą, flirt z „Panią Bovary”.
Samych tylko przekładów była z górą setka.
Tak wyglądała zbliska, głupio przyzecziona
Do wielkiej pracy Boya, „życie ulatnione”.

Ze ścian patrzy Wiktacy — demon zakopiański.
Przy oknie wisi rzewny portret pani Zosi.
Tak ją widział, z tym lokiem na czole, Wyspiański,
I taką ją w „Weselu” drużba w taniec prosi
I porzyca jak piórko lekką i panięską
Panią Zofję Boyową de domo Pareńską.



Właśnie wszedł Staś Baliński. Torcik pralinowy
Zostawił w przedpokoju, bo jutro niedziela
I z Antonim na obiad jedzie do Podkowy.
Górka tłumaczy komuś, że w czasach Popiela
Żyła jeszcze tradycja świetna króla Cwiczka.
„A z kim żyła?” — wtrącała któraś aktoreczka.

Fiszler głośno o starym studze opowiada,
Który tancząc kozaka „skacze wściekle w górę
A potem niesłychanie powoli opada”...
Rozejrzal się, skończywszy tę wspaniałą bzdurę,
Poprawił się w kanapie i w milczeniu głuchem
Sam jeden porykuje, trzęsąc wielkim brzuchem.

Tylko Boy mu wtóruje. W dobrym jest humorze.
Zażmiał się, nagle uciął i pełen rozpaczy,
Głową nisko pochylił i westchnął: „Mój Boże”.
Kto zna Boya, wie dobrze, że to nic nie znaczy.
Taką już ma naturę, że w momencie krótkim
Z rozpaczy wpada w radość a z radości w smutki.

Lilka przyszła z uroczym swych wierszy tomikiem
I martwi się o tatkę czyli o Kossaka,
Który dziś kieszkę jedząc polknął ją z patykkiem.
Wszyscy ją pocieszają, że niemądra taka,
Że to głupstwo. — „Być może, że to minie po dniu,
Ale to już jest drugi patyk w tym tygodniu”.

...Zdarła czasu zasłone ręka tajemnicza.
Odsłoniła ten obraz, znów jesteśmy razem.
Widzę w śniegu za oknem pomnik Mickiewicza
I gdy chwicie wzrok poję tym miłym obrazem,
Rozwiewa się i ginie z oczu wyobraźni
W szarej mgłę zapomnienia i w oparach łaźni.



W szelkach i półkoszulku na twarde poduchy
Zwalili się stróż pijany. Chrapie spod kurjerka,
Którym twarz sobie przykrył, bo w pokoju muchy.
Fotografia Smosarskiej w ramie od lusterka,
Soyzortę poczerwiałą na stole, serdelek,
Brzytwa i pare pustych od pawa butelek.

Mokry, szary poranek leniwie obnaża
Zarysy miasta mgliste na niebie błędnym.
Świt. Przed otwartą bramą stanął wóz śmieciarza.
Wionęła woń zgnilizny ostrym smrodem nglącym.
Ciężko waląc butami w mrocznej ulic pustej,
Idzie posterunkowy z prostytutką w chustce.

Zza węgla wypłoszone rogówki, niemrawym
Kłusem przbiegłszy szczerze przez nocną obławę,
Któraś zakleła słowem soczyście plugawym,
I tem słowem poranek przywitał Warszawę.
Gwizdem syren fabrycznych, wrzaskiem prostytutek
Budzi się dzień warszawski i warszawski smutek.

Już z Pułaskiej i z Woli na miasto wylega,
Śnieg pod parkanami mroczny ludzki szereg.
Domyślasz się go raczej, gdy uszu dobiega
Bosych kroków szelestem i brzękiem manierek.
Gdzieś zawył pies bezdomny nim go zlapał hycel.
Na rogu stoi alfons a na drugim szpiciel.

Porzuć na chwilę złudne śródmięścia bogactwo!
Zajrzyj w tę suterynę wilgotną i czarną,
Gdzie się dzieci warszawskie gnieźdzą jak robactwo.
Zejdź na Gęsią, na Brudno lub w dół przez Browarną
W głębie ciemne, smrodliwe ludzkiego śmietnika,
W tę przepaść, którą Judym znał i znał Baryka.

Bezrobotne, bezdomne wyrostki, niedzarze,
Tłum cuchnący, zmarniały miasta pomiot wszawy —
To oni śpią w ogrodach zmienionych w cmentarze,
To oni, właśnie oni bronili Warszawę,
Gdy tamci... Gdy my wreszcie tak samośmy zbiegli...
I czegoż tak bronili i za co polegli?

Jeśli tych dzielnic hanby pioruny armatnie
Nie rozniosły i bomby nie zżarły ogniste,
To niech te mury zwałą nasze ręce bratnie,
Gdy czas przyjdzie wysoko pod niebo gwiaździste,
Na wolności prawdziwej jawny znak widomy,
Dumnym łukiem strzelistym Szklane dźwignąć Domy.

I taką cie pamiętam, szara, robotnicza
Warszawo pracy głodnej i śmierci ofiarnej.
Lecz jeśli blask i cienie twojego oblicza
Rysować mam prawdziwie — niech nie zbraknie czarnej
Barwy twojej ponurej, gdy w oczach wyrasta
Obraz inny i gorzki — obraz złego miasta.

A przecież nawet takiej dziś się nie ośmielię
Obrzucić buntu wzgardą i gniewem przekleństwem.
Bo widzę cie tęjącą w zgłiszczach i popiele
Ogniem świętym — zbawioną na wieki męczennictwem,
Połączoną braterstwem, bólem zjednoczoną,
Życie moje i młodość — Warszawę straconą.

Ach, nigdy nie umiałem rozstać się z tobą,
Za morza uciekałem, krążyłem wśród stolic,
Niecierpliwym turysta — za własną chudobą
Tęskniący wśród bogactwa zamorskich okolic.
Przerzuciłem pośpiesznie kraje i stolice,
Jak ktoś, kto barwne książki przerzuca stronie.

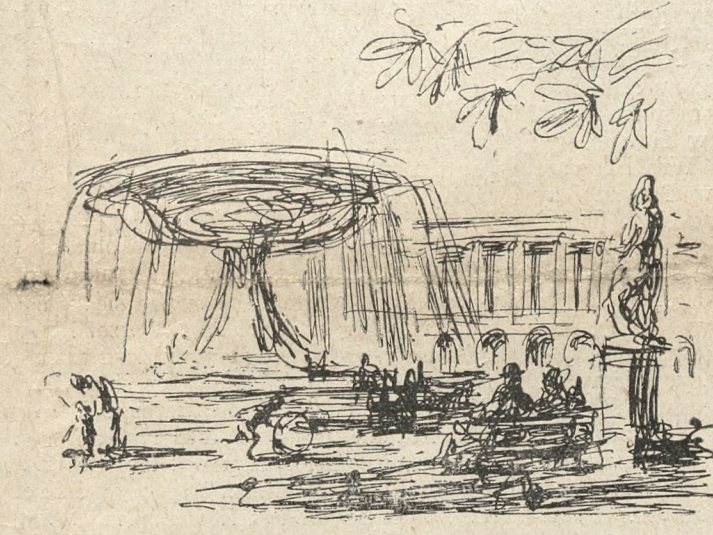
Wystarczyło wyjechać na dzień do Podkowy
I nocą letnią wysiąść zmęczony z tramwaju,
Aby nagle zaskoczył jakiś urok nowy,
Jakaś droga znajoma w nieznanym kraju,
Nęcała światłem blaskiem i nocy błękitem
I miłość wzbudząca wiecznym niedosytem.

Miasto zmienia swą barwę, zapach i oblicze.
Jeszcze wczoraj tak szare, smutne i kamienne,
Nagle rankiem jak ogród kwitnie malownicze.
Czy jest na świecie miasto, jak Warszawa, zmienne?
Tak pełne niespodzianek, przygód i uroku,
Tak zależne od światła i od pory roku?

Nie biegliśmy za miasto na Zielone Świątki,
Ale wieś szła do miasta umajonym szlakiem.
Bramy, okna i schody i wszystkie zakątki
Przysrajano zielenią, wonnym tatarakiem.
Domy warszawskie kryły brzydotę swych fasad,
Według wojny lotniczej nowoczesnych zasad.

Znasz zapachy warszawskie? Woń farby olejnej
W owocarni żydowskiej otwartej w noc ciepłą?
Zapach trawy za oknem, kiedy z ręki chwiejnej
Drżące pióro wypada, gdy już krwią zakrzepłą
Na niebie łni wschód słońca, i nagły poranek
Głośnym płaków święgotem wola zza firanek?

Czy pamiętasz w Ogrodzie kioski z wodą sodową?
Labele na jeziorce i wielką fontannę?
Te klomby i kasztany, w niedzielę majową
Pachnące, gdy je słońce zlociło poranne?
Każda wiosna, gdziekolwiek odnajdę jej blaski,
Pachnie mi tak jak pachniał młody ogród Saski.



Pamiętam, gdym był dzieckiem, zamiast do Ogrodu,
Służąca do kościoła co rano szła ze mną,
I dzisiaj jeszcze czuję kamienną woń chłodu,
Kościny przedsmak śmieci. Widzę nawe ciemną
I długą smugę światła drżącą i różową,
Co kładła się pod nogi płamą kolorową.

Na stropie w sztuczne gwiazdy usiany firmament
Tonął w mroku liljowym, złoty i niebieski.
Pamiętam szczegóły każdy i każdy ornament
Szaty, którą miał święty Antoni Padewski.
Gdy oczy zamknę, widzę do wnętrza kościelne,
Zimne codziennie a duszne w poranki niedzielne.

Na Wielkanoc pachniały białe hyjanty
Gdyśmy szli zwiędzać groby po wszystkich kościołach.
Pamiętam grote ciemną, kamień odsunięty,
Czerwony blask pochodni na srebrnych aniołach
I kir na kandelabrach — oznakę żaloby;
Takie były w dzieciństwie mem warszawskie groby.

Wyrosły nam te groby na uprawnych trawach,
Pełnych niegdyś soczystej i pogodnej farby.
Dzisiaj właśnie w ogrodach, w miejscu dawnych zabaw,
Lekka ziemia dzieciństwa zjeżyła się w garby,
Sfałowała grobami i gniewem wylębnieniem,
Jak czolo przeorane troską i cierpieniem.

Jeśli dziś chcesz na groby zaprowadzić syna,
Nie trzeba kirów czarnych i kościelnej nawy.
Jeszcze ziemia nie wyschła, jeszcze mokra glina
Leży grudą niekształną wśród wilgotnej trawy.
Znajdziesz je w błocie, w gruzach, pod śniegiem, na
piasku,

Nie w złocie świetle gromnic lecz w dnia szarym blasku.
I jakżeż w to uwierzyć? Jak się z tem pogodzić?
Że został tylko popiół, zgłiszczą i świst wiatru...
Że już nigdy nie będę spokojnie przechodzić
Kolo domu mego, Zamku czy Teatru?
Nawet tego nie mogę: — jak syn marnotrawny
Wrócić i czolo skłonić na domu próg dawny.

Zawsze odnajdę drzewa i kwiaty i ziola,
I topole szumiące i polne ścieżyny.
Nikt mi tych grusz na miedzy odebrać nie zdola,
Odnajdę łaki bujne i zółte lubiny,
I wiatry porywiste, pachnące i mocne,
I szare nasze wody, i niebo północne.

Lecz biada tym, co serce zostawili w mieście,
Biada tym, którzy czolem do ruin przypiearli.
Już niema tego miasta. A choć wrócą wreszcie,
Śnić się będą wśród żywych jak ludzie umarli
Albo błądzić jak ślepy, targani udrekiem,
Wśród murów których niema, z wyciągniętą ręką.



W ciemnych tajgach sybirskich, w kraju wiecznych
mrozów,
Czy w upałach pustynnych, czy w śniegu północy,
Czy z drutem kolczastym niemieckich obozów —
Jak wam się Ona, bracia, musi, śnić po nocy,
Jeśli tu w domu cichym wśród dobrych ludzi,
Dni zatruta wspomnieniem a nocą mnie budzi.

Przysłał mi ją Paryż wszystkimi czarami,
Mają światła złote, różowym oblokami,
Owiewał mnie wonnemi ciepłymi wiatrami,
Ogłuszał ulic gwarem, bulwarów wrokiem,
I spłynął w niepamięci, jak w odbiciu wody
Przepłynął srebrny obłok niezmięskiej urody.

Patrz. Za oknem angielska zieleni niezwalczona
Trwa lekko przysypiana szronem jak siewczyna
Kwitną grudniowe róże. A przestrzeń zamglona
Cierpliwie codzien uczy tęsknić za ojczyzną.
A wszak nieraz marzyłem właśnie, jak o kraju,
O Angji, kiedy trudno żyć mi było w kraju.

Znają dobrze z widzenia w Aylesbury na rynku
Cudzoziemca co wszystkie kupuje gazety.
I wiedzą prosi ludzie, tutaj w małym Tringu,
Że ten pokój na piętrze, to pokój poety,
Co znalazł dach nad głową, chleb, uśmiech i ciszę.
Że ten pan to jest Polak i że książki pisze.

Ciąży pochmurne niebo zimowe jak otłów
Nad starymi domami małego miasteczka.
A wiatr przynosi zapach dymu i popiołów.
Wiej, wietrze! Może zbierze się chociaż garsteczka,
Choć tyle, by starczyło go do ust przycisnąć,
Nim w cztery strony świata zdążył ten proch cisnąć.

Wiem, że to wiatrów sprawa popioły rozwiewać,
I twoja sprawa, wietrze, rozniecać pożary.
W kwitnących drzewach wiosny szumić, lkać i śpiewać,
A jesienią drzew łamać umarłe konary.
Kiedy wyjesz za oknem, skamleż nocą ciemną,
Wiem czego chcesz ode mnie, o czym mówisz ze mną.

Nie zgłiszysz mnie wyciem gniewnego chaosu,
Nie utulą mnie do snu twe pieśni zwodnicze.
Przedrę się przez tę wrzawę łzami mego głosu,
Srogi wietrze stuleci — ja ciebie przekrzyczę!
Choćbyś chciał całą siłę przeciw nam obrócić,
Tych popiołów nie zdolasz po świetle rozrzucić.

Z pożaru mego miasta, bólu i udreki
Rośnie siła ogromna, co przetrwa przez wieki,
Moc, co oręż wytrąca z gniewnej ludzkiej ręki.
I nawet ta opowieść i ten rym kaleki
Ozdobi się w przyszłości jakimś listkiem sławy,
Choć dlatego, że sercem bliski był Warszawy.

LONDYN — TRING
wrzesień — grudzień 1940

ANTONI SŁONIMSKI

*) por. nr. nr. 40/41 i 43 „Wiadomości Polskich”.

SKARBNICA POLSKA

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

PRZEKLETY

Męka cielesna trwała krótką chwilę. Poddał się jej dobrowolnie, bo mniemał, że ona położy koniec katuszom ducha, które były o wiele straszniejsze, niż głębsze wszystkie legendy o zdradach. Ogarniał go wprawdzie lęk przed śmiercią i konaniem, ale było mu tak nieznośnie, tak ciężko, że zwał się nawet ów lęk tajemniczy i że sznurzem na szyi rzucił się z gałęzi drzewa figowego.

Krew zalała mu oczy. Począł się dusić i chwycił rękami po powietrzu, by znów uchwycić się gałęzi. Chciał dłoń ująć sznur nad głową i podciągnąć się ku górze. Miał się rozpaczliwie. Ale już było za późno. Sznur zaciskał mu szyję i tamował oddech. Wtedy powiedział sobie, że to koniec wszystkiego.

Ale myśli szalały jeszcze w jego głowie. Szeroko rozwarł oczy i patrzył i widział przed sobą świat pograżony w jakiejś krwawej siności. Potem świat cały pociemniał, a w myślach jego powstał zamęt. I nie już nie wiedział. Zatracił pamięć tego co jest i co było. Jak to długo trwało, nie wiedział.

Nagle zdało mu się, że leży w ogrodzie pod drzewem i śpi. Przez sen czuje, że mu głowa ciąży i dźwoni w niej coś jak dwa młoty kowalskie, uderzające o kowadło. Serce bije nierówno, a zimny pot oblewa czoło. Przypomina sobie, że przed zaśnięciem popełnił jakiś czyn, który będzie straszny w następstwach, odbierze mu spokój na zawsze i ściąganie na jego głowę przekleństwo. Ogarnia go okropny lęk i czuje, że za chwilę przypomni sobie wszystko. Jakaś myśl niby sęp koluje nad jego głową i wnet rozdziobię jego pamięć, dobywając z jej krwawego wnętrza coś przerażającego, coś ohydnych, przed czym już teraz drży i zimnym potem się oblewa.

Odemknął oczy, podniósł je ku liściom drzewa figowego i ujrzał siebie powieszono na gałęzi. Rude włosy, zlepione potem, opadły na szerokie barki; ręce i nogi kurczowo w dół wyciągnięte. Twarzy nie widzi, gdyż trup wisi do niego plecami zwrócony. Ogarnia go wstręt i pragnie nie patrzeć, chce odwrócić oczy. Patrzy po innych drzewach, które licznymi rzędami obrastały pagórek, malejąc w oddali. Ale wnet u gałęzi każdego drzewa aż hen do muru zawisa cień podobny do rudego wisielca. Zwraca oczy ku niebu, ale drzewa wyrastają razem z jego spojrzeniem aż pod firmament, a u gałęzi wiszą sztywnie z kurczowo w dół wyciągniętymi rękami i nogami. Pochylił więc głowę na piersi i dlonie położył na oczach, aby w jakiś sposób przestać widzieć.

Po niejakiej chwili usłyszał kręki człowieka, który wyszedł z przedsińka domu i dążył wolno przez gaj. Odmawiał szepcąc modlitwę; wyrazy mieszały się z lekkim szmerem liści. Szedł bardzo wolno, przystawał, ale kierował się do drzewa figowego. Kręki tego człowieka, szepcąc jego modlitwy słyszał coraz bliżej i wyraźniej; ogarnął go nowy lęk, chciał zerwać się z ziemi i uciec. Ale wtedy przekonał się, że nie leży na ziemi, ale jakby w powietrzu. Odjął dlonie od oczu, spojrzal po sobie. Rece jego, podobne do piegwatych rąk rudego wisielca, były jednak bezbarwne, cieniste i tak samo nogi i szata, która go okrywała. Stapania zbliżyły się bardziej i bardziej. Nagle posłyszał krzyk i szybkie kroki w stronę domu, z którego wybiegła grmadka ludzi. Rozmawiali bezładnie, z wymachiwaniem rąk, z wyciągniętymi wskazującymi palcami w stronę gaju, gdzie stało skryte za innymi pniami i liśćmi owo drzewo figowe. Cała grmadka ruszyła pod górę, otoczyła wisielca; słychać było emokanie językami, lament, krzyki; widać wznoszenie ramion pod niebo. W tej chwili poczęło zachodzić słońce, a w gaju uczyniło się mroczno. Właśnie ktoś wypowiedział jego imię, a grmadka powtórzyła je z przerażeniem. Ciemność padła na gaj. Ludzie z krzykiem uciekli w głąb domu. Wtedy powstał zimny powiew i począł go unosić nad ziemią.

Powiew stał się silniejszy i uniósł go z owego ogrodu, obstawionego żołnierzami. Wypłynął na pola i drogi. Ale dostrzegł w pomroce nocej, że prąd powietrza nie porusza drzew przy drodze, nie wzbija tumarów piasku, choć staje się coraz silniejszy i zaczyna rwać go jak burza. Z rozwianym wiosem, z rękami nad głową i ze skrzywionem z przerażenia obliczmem iłak w obłoku burzy nad ziemią, a ciemność dokola stawała się coraz gęstsza i wycie wichru coraz okropniejsze. Potem rozległy się w tym wirze świstania, nawliwania i śmiechy. Włosy poczęły mu się jeżyć na głowie. Wywrócił oczy, biegł, plynął, bojąc się obejrzeć poza siebie, gdyż zdawało mu się, że ktoś go ściga, jedynie wskutek ciemności trafić za nim nie może. Pęgoń była rozproszona. Świsty i nawliwania rozległy się w różnych stronach świata. Niekiedy głosy miały go, przecinając drogę przed nim lub za nim. Przechylił głowę wtył, nastawiając ucha, wyprzedzając się równocześnie, aby go burza łatwiej nieś mogła. Przez czas jakiś słychać było tylko szum wichru. Ale niebawem zauważył, że głosy poczynają gromadzić się za nim, rozlegają się wprawdzie bardzo daleko, ale już są na tropie. Teraz zrozumiał, że jakiś pościg szaleje za nim, a on uchodzi. Krzyki, poświsty, nawliwania zbliżyły się ustawicznie, i teraz mógł już rozróżnić głosy pochodzące od różnych postaci. Jeszcze przez chwilę ledził się, że ta głucha wrzawa poza nim nie tyczy go, że to nie pościg i że on nie ucieka. Ale nagle posłyszał swoje imię. Wtedy ogarnęła go rozpacz bliska obłędu. Rzucił się ze wzniesionymi rękami naprzód, kładł się na wierzach, szalał z burzą nad ziemią, nie patrząc poza siebie, nie widząc nie przed sobą, nie myśląc, miotany strachem, okropną bojaźnią, męką i obrzydzeniem. Wtedy przychyliło za nim na chwilę. Ale nagle o jakichś pół stajania powstał gwar zmieszanych głosów, wrzask, świst, chichot. Wtedy wezbrał w nim gniew, gdyż zrozumiał; że przed pościgiem który skończył w dzwiny sposób i śród przerażających okoliczności. Inni powiadali, że nie skonali, tylko omdlił. Jeszcze inni twierdzili, że

o zachodzie słońca zstąpił z krzyża i ruszył ze swymi uczniami przez kraj. Powstały liczne sprzeczki. Ale nadbiegli ludzie, którzy oznajmili, że napewno umarli, gdyż zdjęto go już z krzyża i złożono do grobu. Wtedy wielu się znacznie uspokoiło; inni udali się do domów, a ci, którzy pozostali na placu w cieniach nocnych, poczęli wyklinać zdracę, dobierając strasznych ziorzeczeń.

Wtedy powiew poniosł go dalej przez ulice, place i zaułki. Bliżsi bramy na drodze ujrzał znowu grmadkę ludzi. Chciał ją minąć, ale powiew niosł go w tamtą stronę. Zadrżał. W pośrodku grmadki szła Matka Sprawiedliwego, z żoną bladą jak płótno, z sinemi kolami pod oczami i ze źrenicami zwróconymi błędnie przed siebie. Z piersi jej dobywały się urywane słożochanie. Podtrzymywało ją dwóch placzących uczniów, którzy się nie utkleli i z miasta nie uszli. A na obliczu Matki był taki ból, że dobrze ziemi, iż w cieniach nocy tonęła, nie widząc go. Któryś z uczniów wymówił imię zdracy. Z posiniących ust Matki wybiegł ledwie słyszalny szepc, którym zdracy przebrabala. A właśnie powiew wiatru stał się w pobliżu. On pragnął krzyknąć, rzucić się z rozpaczą do jej stóp, objąć rękami jej nogi, a potem słożochając, pochylić głowę ku ziemi i tarzając ją w piasku. Ale był bezsilny. Powiew poniosł go dalej, a grmadka znikła w mroku nocnym.

Błąkał się z wiatrem dokła murów miasta, wpadał przez bramy, mijając niepostrzeżenie strażników, i znowu krążył po ulicach i ogrodach. Znalazł się w ten sposób w gaju oliwnym, śród którego leżał twarzą na ziemi mąż pewien i gorzko plakał. On w chwili stanowiącej ulak się i zaparł Sprawiedliwego. Teraz ciężko plakał nad sobą. Nikogo nie winił, tylko siebie, bo upadł, bo się wyparł prawdy. Jakże kierować będzie tą kruchą nawą rybacką, kiedy za pierwszym podmuchem burzy uciekł do wygodnych, spokojnych brzegów?... Jakże dźwierzć będzie kij pasterski, kiedy wierna trzoda rozproszyła się, kiedy jeden pocałunek zdracy winiwec obrócił wszystko i kiedy wybrani poczynają nieufnie na siebie poglądać?... I słożochal nad sobą, nad zaprzaniem, nad Sprawiedliwym, nad wybranymi, nad zdradą.

Wiatr poruszył gajem oliwnym, a cień z powiewem plynął dalej, przez bramy, ulice, zaułki, dokola murów, i zatrzymał się w ogrodzie, w którym u grobu dziesiętnik pieszczotował skale, a rotnistrz ze swej rotty ustawiał żołnierzy, mających przez całą noc czuwać przy kamieniu. Gdy dziesiętnik skończył pieszczotowanie, rotnistrz zabrał swą rotę i oddalił się. Żołnierze popieerali wólcenie o ścianę grobu, zdjęli helmy i poczęli rozmawiać. Dziesiętnik przechadzał się w zamyśleniu. Powiał zimny wiatr. Pomiędzy żołnierzami powstała mowa o zdracy.

I nagle zdało mu się, że niebo, ziemia, drzewa, domy, kamienie, skaly i całe przyrodzenie ma usta, a na tych ustach jedno okropne imię, które jest jego imieniem. I przestraszył się tego straszego rozgłosu, przestraszył się samego siebie, przestraszył się swej duszy i zapragnął oderwać od niej, zapragnął uciec przed samym sobą.

Powiew stał się silniejszy i uniósł go z owego ogrodu, obstawionego żołnierzami. Wypłynął na pola i drogi. Ale dostrzegł w pomroce nocej, że prąd powietrza nie porusza drzew przy drodze, nie wzbija tumarów piasku, choć staje się coraz silniejszy i zaczyna rwać go jak burza. Z rozwianym wiosem, z rękami nad głową i ze skrzywionem z przerażenia obliczmem iłak w obłoku burzy nad ziemią, a ciemność dokola stawała się coraz gęstsza i wycie wichru coraz okropniejsze. Potem rozległy się w tym wirze świstania, nawliwania i śmiechy. Włosy poczęły mu się jeżyć na głowie. Wywrócił oczy, biegł, plynął, bojąc się obejrzeć poza siebie, gdyż zdawało mu się, że ktoś go ściga, jedynie wskutek ciemności trafić za nim nie może. Pęgoń była rozproszona. Świsty i nawliwania rozległy się w różnych stronach świata. Niekiedy głosy miały go, przecinając drogę przed nim lub za nim. Przechylił głowę wtył, nastawiając ucha, wyprzedzając się równocześnie, aby go burza łatwiej nieś mogła. Przez czas jakiś słychać było tylko szum wichru. Ale niebawem zauważył, że głosy poczynają gromadzić się za nim, rozlegają się wprawdzie bardzo daleko, ale już są na tropie. Teraz zrozumiał, że jakiś pościg szaleje za nim, a on uchodzi. Krzyki, poświsty, nawliwania zbliżyły się ustawicznie, i teraz mógł już rozróżnić głosy pochodzące od różnych postaci. Jeszcze przez chwilę ledził się, że ta głucha wrzawa poza nim nie tyczy go, że to nie pościg i że on nie ucieka. Ale nagle posłyszał swoje imię. Wtedy ogarnęła go rozpacz bliska obłędu. Rzucił się ze wzniesionymi rękami naprzód, kładł się na wierzach, szalał z burzą nad ziemią, nie patrząc poza siebie, nie widząc nie przed sobą, nie myśląc, miotany strachem, okropną bojaźnią, męką i obrzydzeniem. Wtedy przychyliło za nim na chwilę. Ale nagle o jakichś pół stajania powstał gwar zmieszanych głosów, wrzask, świst, chichot. Wtedy wezbrał w nim gniew, gdyż zrozumiał; że przed pościgiem który skończył w dzwiny sposób i śród przerażających okoliczności. Inni powiadali, że nie skonali, tylko omdlił. Jeszcze inni twierdzili, że

piekielnej radości. Obrócił się, spojrzal — nagle wszystko ucihło, znikło. Puste nocne dale, tylko wicher dmie z wielką gwałtownością.

Pot perlisty wystąpił mu na czoło; osłabł i chciał spęczać. Ale nie mógł schylić się ku ziemi; powiew burzy niosł go dalej nad polami. Zrazu uspokoił się nieco. Ale jakaś myśl spłoszyła chwilowo spokój i przejęła go jeszcze większą bojaźnią, niż przedtem. Głosy, które giną w powietrzu, są zapowiedzią rzeczy ostatecznych.

Zaczął więc znowu biegać z wichrem, rwany coraz gwałtowniejszą burzą. Jakoż po chwili ożwały się znowu za nim szepcy, zrazu bardzo daleko, ale potem coraz bliżej. Z szepciami łączyły się poświsty, nawliwania. Im przedziej plynął przez powietrze, tem bliżej i głośniej rozlegała się za nim wrzawa. Teraz słyszał już groźby, urągania. Pościg szalał za nim, pedził go w jakimś jednym kierunku i począł z dwóch stron zataczać zagony. Niebawem dosięgnie go.

Przypomniał sobie, że kiedy za pierwszym razem przystanął i obejrzał się poza siebie, wszystko ucihło i znikło. Chciał się ratować w ten sam sposób i niebawem to uczynił. Ale natychmiast przeklął swój postępek.

W chwili bowiem, gdy obrócił się poza siebie w ciemności, rzęknął się piekielnym śmiechem, po którym nastąpiła przerażająca cisza. Przestrzeń w górze poczęła się

rozjaśniać. Rozstąpiły się chmury, i ujrzał postać przybitą gwoździami do nieba. Na sinem czole korona cierniowa, a spod każdego kolca ścieka krew. Szeroko rozwarte oczy patrzą na niego z wyrazem strasznego wyrzutu. Spiekłe, spękane usta rozchylają się i szepczą jego imię...

Nie mógł znieść tego widoku, odwrócił twarz z okropnym przerażeniem i począł uciekać. Zawył za nim tysiączne chichoty, poświsty, groźby, przeklinania. Głosy te gnały go przez nocne przestwory, a on dyszając, jęcząc i wycząc z bólu i bojaźni, biegał przez dale i czuł, że ucieczka jego jest nadaremna.

Na wschodzie poczęło świtać. Teraz mógłby, obrociwszy wzrok poza siebie, ujrzyć postaci i twarze dążące za nim pościgu. Ale bał się. Wszedł dzień słoneczny, lecz zarazem uczynił się dzień w przyrodzeniu. Dzień bowiem świecił tylko w dole na ziemi; on zaś plynął górą śród nocnych ciemności i widział tylko dzień ten pod sobą. Ludzie wychodzili z domów za swymi zajęciami. Pasterze wypędzali stada na pastwiska. Podróżni krążyli z miast do miast pieszo nał grzbietach zwierząt. Dzień, dzień słoneczny, dawny, złoty, jasny, panował znowu na ziemi; on tylko krążył w jakiejś nieprzebranej nocy, a za nim szalał ów pościg przerażający, coraz bliżej i nawliwiający, go, by stanął.

Spojrzal ku ziemi. Spojrzal ku ludziom i przyrodzeniu. Przypomniał sobie, że

kiedyś pedził tam w dole podobny żywot i że cichość mieszkła w jego sumieniu. Ujrzał grmadkę ludzi opylonych kurzem i przypomniał sobie, że chadzał wraz z taką grmadką za Sprawiedliwym i że błogo mu było. Aż popełnił pierwsze oszustwo. Jak się to stało? Nie pamiętał. Stało się nagłe, bezwiednie, bez przepowiedni i upomnień. Nikt o tem nie wiedział, tylko on jeden. Zrazu nosił się z tą tajemnicą jak z małym brzemieniem; potem brzemienie stało się od piełgrzymiej grmadki, podążał naprzód, wyprzedzał, zamawiał noclegi i pozwywienia, a potem kładł się na spoczynek, kiedy inni zebrawszy się po posiłku dokola Sprawiedliwego, słuchali z przejęciem jego słów lub składali przed nim ręce, gdy udrzwiał ciępiące tego świata. Odsunął się w ten sposób od grmadki, jał popelniać coraz liczniejsze oszustwa, i doszło do tego, że worek z pieniędzmi trzeba było dobrze pod szatą ukrywać, aby nie wzbudzał podejrzenia w ludziach, którzy rzekli się wszelkiego posiadania. Wtedy zniemawidził te grmadkę i Sprawiedliwego za to, że ich oszukiwał. Byłby może porzucił ich, ale nie znalazł sposobu. Zresztą ta sama żądza, która go odpychała, równie silnie przyciągała go do tych, których tak korzystnie i tak bezkarnie mógł oszukiwać.

Potem, gdy mu podsunęto myśl wydania Sprawiedliwego, nie wiedział co czynić. Ulał się. Walczył ze sobą przez kilka dni. Ale chęć zysku przemogła, a poparła ją nienawiść do tych, których oszukiwał. Najpierw wziął nagrodę, a potem zastanawiał się jeszcze. Wtedy poczęto nalegać na niego, by dopełnił zobowiązania. Jakże tu zrezygnować z twarzy skóry uległego ucznia? Skąd wziąć oczu do spojrzania i palca do wskazania? Ale wykrotni ludzie pomogli mu. Ty złożył tylko pocałunek na jego twarzy!... Spotkali się w gaju. Żołnierze ukryli się w zaroślach. Zbliżył się do Sprawiedliwego; dziwny uśmiech wykrzywił mu twarz. Powitał mistrza, dotknął ustami jego policzka. Żołnierze wybiegli z zarośli. On uciekł.

I ucieka ciągle. Uciekł przed swoją twarzą, przed swymi oczami, uciekł spod drzewa figowego, na którym zawisł ów rudy wisielec. Uciekł przed brzemieniem swego imienia, które było na ustach wszystkich. Uciekł przed widokiem zbolałej Matki i słożochającego w gaju oliwnym ucznia — zapłaćca. Uciekł przed widmem owej twarzy ocieklej krwią i śmiertelnym znojem. Ucieka wciąż. Pod nim mroczy się dzień, zachodzi słońce, nastaje noc; za nim rozlegają się w powietrzu wolania, świsty, chichoty. Szaląje gonitwa, nęka go głosami i widziadłami.

Trzeciego dnia o świcie poniosł go wicher do miasta, w którym wrzalo od niesłychanych wieści. Tłumy biegły po ulicach domagając się pewniejszych wiadomości. Te bowiem, które z ust doszły krążyły, przechodziły wszelkie pojęcie. On, zdjęty z krzyża i pochowany w opieczętowanym grobie, strzeżony przez żołnierzy, zniknął stamtąd, a zniknął miał śród okoliczności, które jednym lzy z oczu wyciskały, a innych napelniały lekciem. W całym mieście panował niesłychany zamęt, który zwiększał się z tego powodu, że ze wszystkich stron napływały tłumy na święta, tłumy, które o Sprawiedliwym słyszały, tu i ówdzie widziały go przemawiającego do ludu i rozpowiadały wszędzie o jego dziwnych czynach. Liczne gromady ciągnęły do owego ogrodu, by obejrzeć odwalony kamień; ale postawiono wartę i nie puszczano nikogo. Wieści poczęły tedy przybierać coraz większe rozmiary i głoście zdarzenia, którym nie powinno się było dawać wiary. Ale pomiędzy prawdopodobnem i niprawdopodobnem przestała istnieć odwieczna granica. Zasłyły rzeczy tak nadzwyczajne, że poprostu trzeba było albo niczemu nie wierzyć, albo uwierzyć na ślepo wszystkiemu. Jeżeli się uwierzyło w rzeczy najprostsze, które wszyscy widzieli i które były oczywiste, to zaraz przyłączały się do nich zdarzenia tak niprawdopodobne, że nie wierząc w nie, trzeba było uważać za niprawdopodobne coś z tego co się istotnie zdarzyło, co wszyscy widzieli i co było oczywiste.

W każdym razie jedno było pewnikiem: zdjęty z krzyża nie leżał już w grobie strzeżonym przez żołnierzy. Natomiast w onym gaju na drzewie figowym wisiał wciąż jeszcze trup człowieka rudego, i nikt nie miał odwagi zbliżyć się, aby go odciąć i pochować.

Duch tego człowieka, krążąc z powiewem wiatru, znalazł się znowu w onym gaju. Ujrzał wtedy z przerażeniem, że dużej ciępi krzywdziciel niż skrzywdzony. Powiew niosł go przez gwarne ulice, za miasto, na pola. Krążył, wracał, ciępiąc męki, ścigany przez ból, strach i sztyderstwo.

Pewnej nocy wpłynął do przedsińka jakiegoś domu, kolo którego snuły się grmadki, oglądające się podejrzliwie za każdym przechodem. Po jakimś czasie dzwisy weszli w głąb domu, zamykając drzwi za sobą. On wpłynął do rozległej izby, w której poczęto się gromadzić. Cisza panowała śród zebranych; niektórzy

tylko, szepcąc opowiadali sobie najświeższe zdarzenia. Poznawali twarze i bał się, aby go nie dostrzeżono. Ale chociaż ocierano się o niego, nikt głowy ku niemu nie obrócił. Nie widziano go. Jedni poczęli wdychać, inni poplakać. Czekali na coś niezwykłego. A w onem długim oczekiwaniu opuszczała ich otucha. Chwile nocy ubiegaly. Nagle wszyscy oniemieli.

W pośrodku nich stanął Sprawiedliwy, odchylił szaty i ukazał rany swoje. Całe zebranie rzuciło mu się do nóg, i powstał wielki placz. Wyciągano do niego ręce, dotykano brzegu szaty jego. Placz zamilknął się w ogromne uniesienie, że żyje, że jest, że spełnił co był zapowiedział. Poprzysegano mu miłość, czesć i werność; przyrzekano czcić jego przykazania i — zachować w wiecznem przekleństwie pamięć zdracy...

Nagle znikło zgromadzenie, znikła izba, powiał zimny wiatr, rozległy się nad polami świsty, nawliwania, groźby i chichoty sztyderce. A on, niesiony burzą, uciekał nad ziemią, przeklinając siebie i to wszystko co nadaremnie uczynił. Tak, nadaremnie! Teraz dopiero to rozumiał. Skalał nadaremnie ręce sprzedając Sprawiedliwego, skalał nadaremnie usta w zdraczym pocu-hunku, skalał nadaremnie duszę. Coś w nim mówiło, że wszelka zbrodnia jest tylko jakimś nadaremnem skalaniem się, jest męką zadaną sobie samemu. Przekleły!... zawrwały za nim tysiączne głosy. Przekleły!... szeptało coś w nim samym.

Ale zarazem uczył; że stało się coś tak potwornego, czego nie mógł był rozumem swym przewidzieć. Zdało mu się, że istotnie nie wiedział co uczynił; że gdyby był tę sprawę pierwzej poznał, nie byłby się na nią targnął. Sprawiedliwy tylko patrzył i czekał. A on działał i dążył jak człowiek o jednym oku, który połowy świata wedle siebie nie widzi. A kiedy skreślił w stronę swojej ślepoty, wpadł w otchłań.

Zaledwie to wyrozumiał, kiedy poczuł, że wiatry się ucisyły i że stopy jego kręcąc znowu po ziemi. Nie słyszał także za sobą cych gł-sów w powietrzu. Czuił się innym człowiekiem, nieznanym sobie samemu. Szedł przez jakiś obcy kraj. Słońce gorzało w południowej stronie nieba, a na polach mgliła się cisza upalna.

Był bardzo zmęczony i senny. Siadł na kamieniu i odpoczywał.

Wtedy ujrzał przed sobą na drodze zbliżającego się człowieka. Stopy, szaty i oblicze owego męża były zapylone szarym kurzem. Szedł zdaleka i dążyć musiał daleko, bo ani na chwilę nie przystawał. Lecz spojrzawszy siedzącego na kamieniu, skierował ku niemu swe kroki i zwrócił na niego swe jasne oczy.

Przekleły przypatrywał mu się i pragnął sobie przypomnieć, czy go kiedy już nie widział. Ale czynił to nadaremno. Przytem zauważył, jakoby poczynął myśleć nie swoimi myślami, ale sięgał nie do swojej pamięci.

Wtedy ów nieznamy mając powitał go, a Przekleły patrzając na niego błędnymi oczami, zapytał:

— Zali mnie znasz, obcy człowieku?
— Nie znam cie, — odparł tenże, — ale i ty siebie nie znasz.

Przekleły rozejrzal się dokła wzrokiem człowieka budzącego się z długiego snu, a ów nieznamy mąż mówił dalej:

— Zali pamiętasz, jak cię związał?
Przekleły zawałił się, bo istnie nie mógł sobie żadnym sposobem przypomnieć swego imienia. Nieznajomy mając przemówił znowu:

— Strudzony jesteś piełgrzymką i cierpieniem. Zapomnij o trudach i cierpieniach, a pójdz moim śladem.

A gdy Przekleły patrzył na niego, jakby słów tych nie rozumiał, przemówił jeszcze ów nieznamy mąż w te słowa:

— Zali pamiętasz, jak cię związał?
Przekleły zawałił się, bo istnie nie mógł sobie żadnym sposobem przypomnieć swego imienia. Nieznajomy mając przemówił znowu:

— Strudzony jesteś piełgrzymką i cierpieniem. Zapomnij o trudach i cierpieniach, a pójdz moim śladem.

A gdy Przekleły patrzył na niego, jakby słów tych nie rozumiał, przemówił jeszcze ów nieznamy mąż w te słowa:

— Zali nawet pamiętasz, iż znużyłeś się i cierpiełes? Zali pamiętasz, czyż żył kiedykolwiek i działał?

Po chwili zaś dodał:

— Co pamiętasz jedynie? Czego jedynie poządasz?

— Być jakimś innym! — zawolał Przekleły i pochylil mu się do nóg.

To jedno wiedział, to czuł i pamiętał. Wtedy ów nieznamy mąż położył rękę na jego głowie, i za stochoły mu się z policzków i padła na kaszatanowe włosy kłęczącego. Cichość była na polach, jeno nad głową przykłędko rozległy się słowa tajemnicze, ale dziwnie lagodne:

— Żyj i odradzaj się ciągle, boś jest człowiek, który dąży. Po każdym czynie nastąpi zrozumienie tego czynu. Więc patrzaj, abyś za każdorazowem odrodzeniem się mniej prawdę sprzedawał...

Słowa przebrzmiały w ciszy upalnej. Przekleły podniósł oczy. Ale onego nieznamego męża już nie było na drodze.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Kolo Opieki nad Żołnierzem w Londynie prosi czytelników „Wiadomości Polskie“ o odnośnienie przesyłanych numerów do Kola Opieki nad Żołnierzem, 3, Bentinck Street, London, W.1, celem przesyłania ich do obozów i szpitali, gdzie znajdują się żołnierze-Polacy. Biuro Kola Opieki nad Żołnierzem czynne jest w srody i piątki w godz. 11—12.

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI
Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C.2.
Published every Wednesday at 36, Great Russell Street, London, W.C.1.

MIECZYSLAW ROMANOWSKI

ŚMIERC ŻIŻKI

Z Czech wyruszyli bracia, panowie,
Na Rakusana w Morawie.
Na bój ich wiedzą wlecy wodzowie:
Jan Żizka dzierży buławę.

Jan Żizka ślepy: niemieckie strzały
Oczu uwarły mu dwoje;
Lecz widzi duchem jakby w dzień biały,
Gdy przyjdzie z Niemcem wściebie boje.

I straszneń wrogów gromi ramieniem;
Szeroko grzmi o tem sława...
Pierś mu goręje wielkim strumieniem;
Ten płomień — światło mu dawca.

A tym płomieniem: szlachetna, święta
Miłość żył ziemi, częś Boga.
Wieki hetmana Czech zapamięta,
I nie zapomni kark wroga.

Do Przybysławia przyszli wieczorem,
Rozgrzani bojem i drogą;
W krąg zaciężyli wozy taborem
I warzą strawę ubogą.

I o zwycięstwach gwarzą weseli,
O kłesie Niemców i zgrozie;
Jutro, gdy pierwszy płomień wystrzeli,
Będą w Albrechta obozie.

Lecz cyt! wieść głucha gromady miesza,
Mieszają tłum rozhovory;
Pod namiot woda cisnie się rzęsa:
„Nasz hetman, Żizka Jan, chory!”

Zanimiędł Żizka po boju srodze,
Na twarzem posłaniu leży;
Dokola niego strapieni wodze
I orszak smutnej młodzieży.

Ale nie złaman hetman na duszy,
Choć wie, że przyszła godzina;

SZTANDARY POLSKIE W KREMLU

Grzmiały huczne dzwony na Kremlu szczytach,
Car świętej słucha ofiary —
A na wmiotyłach cerkwi sfiutach
Polskie się chwioja sztandary.

„Sława, o! sława — zagrzmiały chóry. —
W pęta car zakul czerń laszą!”
I zaszumiała odpowiedź z góry:
„Za waszą wolność i naszą!”

Nam dzisiaj tak w duszach, jak kiedy się
wiosna
Z zimowej wyrzywa miocny.
To smutek i żalność, to zorza nadosna,
To rozpacz jak wicher północny.

Ach! kiedyż za ciebie w bój skoczym
spragnieni,
O! Polsko, ty matko miłości?

Z twardego łoża jak lew się ruszy,
I wzdów tak napomina:
„Czesi — Morawcy — Polacy mili,
Serdeczny, drzyj narodzie!”

W ostatniej, bracia, proszę was chwili,
Młójcie wy się w zgodzie.
Noście otwarte serca przed Bogiem,
Czyste jak wasze powietrze,

A kto z was kiedy bratał się z wrogiem,
Niech we krwi hańbę tę zetrze.

Nie szczydźcie trudu, rąk, ni oręża!
Tęhorz tylko spokój wybiera...
Kto ród germański w Bogu zwycięża,
Szatanom głowę ten szciera.

Oni tu wieści hańbę, niewolę,
Jak śmierć szatani do raju.
Kłamstwami Bożą zaszeli rolę,
Czesie ojców wyparli z kraju.

Toż w boju z nimi nie odetchniecie,
Nie opuście ramienia!
A nienawidzić ród ten będziecie
We setne aż pokolenia!

Gdy skonam, cialo moje ciśnijcie,
Niech sępom na żer posłwży;
Skóra z mych barków bęben pokryjcie,
Niech bębiąc — Niemcom zgon wróży!”

To rzekł, i skonał — i zawiesił głowę
Na pierś ostyglą, bez tchnienia.
Ale hetmana słowa gromowe
Z pokoleń grzmiały w pokolenia.

I zawsze rolnik w nocy majowej,
Gdy zamocuje na bloni,
Słyszcy w powietrzu bęben Żiżkowy,
Bijący na gwałt: — do bron!

„O! buntowuszczyki, po carskiem słowu
Przyśięgim na zgubę laszą!”
I zaszumiała o góry znowu:
„Za waszą wolność i naszą!”

Umilkły śpiewcy, zgasty ofiary,
Car słucha, szepoty straszą —
Spojrzal: nad głową szumią sztandary:
„Za waszą wolność i naszą!”

I kiedyż przy huku dział, trzasku płomieni
Podniemiem okrzyki wolności?